

Miłość z kamienia

**Grażyna
Jagielska**

**Miłość
z kamienia**

Życie z korespondentem wojennym

© Wydawnictwo WAM, 2018

© Grażyna Jagielska, 2018

Opieka redakcyjna: Damian Strączek

Korekta: Dariusz Godoś, Anna Śledzikowska

Projekt okładki: Emilia Pyza

fot. na pierwszej stronie okładki © Northfoto/Shutterstock.com

Skład: Edycja

ISBN 978-83-277-2010-8

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: OPOLGRAF • Opole

Książkę wydrukowano na papierze IGEPA Creamy 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Dzisiaj mijają trzy miesiące, odkąd przyjęto mnie do kliniki psychiatrycznej z objawami stresu bojowego. Tak naprawdę jest to stres mojego męża, ale on zawsze oddawał mi wszystkie swoje kłopoty.

Na leczenie przywiózł mnie w ładne miejsce. Teren jest tu pagórkowaty i gęsto zalesiony, Wojtek wie, jak bardzo lubię drzewa. Dlatego wybrał ten rozległy biały dom otoczony labiryntem ścieżek spacerowych w zakolu bystrej rzeki.

Poszliśmy do parku zaraz po przyjeździe, jakby to było to właściwe miejsce, do którego mnie przywiózł, a dom ze skrzydłem szpitalnym był czymś dodatkowym i mniej ważnym. A może chodziło mu o rzekę, że tak ładnie płynie odgrodzona gęstą siatką od ludzi w parku i wszelkiej nadziei lub pokusy, jaką mogą dawać takie wzburzone, chłonne wody.

Starannie wybrał ławkę – męczyło go poczucie winy, że sam nie zdradza żadnych objawów choroby, której miałam się wyzbyć wczesną wiosną w tej ładnej, pagórkowatej okolicy. Wytarł ławkę i nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić.

Poznałam na tej ławce Lucjana.

Życie z kimś, kto może umrzeć kilka razy w roku, ma swoje dobre strony, choć nie od razu daje się to zauważyć. Wiara w życie jest wtedy inna, bardziej przypomina pory roku, odnawia się po każdym załamaniu mimo wszystko o wiele silniejsza. Jest to wiara w bardzo krótkie odcinki życia: do przyszłego

miesiąca, do świąt, do wiosny. Myśli się dzięki temu jaśniej i silniej odczuwa różne rzeczy, jak to przed śmiercią, nie ma czasu na błędy. Czasu traci się mniej i ogólnie podejmuje się trafniejsze decyzje – moja babka mówiła, że taką klarowność w głowie ma się tylko przed śmiercią, swoją albo cudzą. Żyje się w takiej ciągłej klarowności, podejmując trafne decyzje – babka nie mówiła, jak długo tak można.

Teraz lekarze każą mi myśleć o czymś przyjemnym. I żeby codziennie znaleźć jedną rzecz, która daje mi radość albo ulgę – to taka terapia. Codziennie jedna radość albo jedna ulga, może być nawet ta sama co wczoraj. Byle nie była to myśl o śmierci mojego męża.

Lucjan dosiadł się do mnie w parku. Zauważyłam go już przy śniadaniu w sali jadalnej z oknami wychodzącymi na różany ogród i okazałe kępy drzewiastych azalii. Rozbił starannie, niemal pedantycznie, skorupkę jajka, którego później nie zjadł. Obserwowałam go, ponieważ pielęgniarka w izbie przyjęć uprzedziła, że spotkam tu rodaka. „Jest z nami jeden Polak” – powiedziała i uśmiechnęła się z zawodową, czujną uprzejmością. Nad jej głową widniała gustowna, nienarzucająca się tablica z napisem „Ośrodek zdrowia psychicznego”.

Siedząc przy śniadaniu, starałam się wyłuskać z tłumu mojego Polaka. Wytypowałam Lucjana wyłącznie dlatego, że przypominał mi wujka spod Ostrołęki. W rzeczywistości był tylko kilka lat starszy ode mnie. Popijał powoli kawę i z zadowoleniem patrzył na różany ogród i już zieleniejącą ścianę parku za kępami azalii. Wyglądał na kogoś, kto ma przed sobą miły dzień, donikąd się nie spieszy i sprawia mu to przyjemność. Musiał wyczuć, że na niego patrzę, bo podniósł wzrok i spojrział wprost na mnie. Pomyślałam wtedy o nim prawie z niechęcią, że należy do tych opanowanych, zrównoważonych

ludzi, którzy doszli z sobą do ładu i teraz mogą się cieszyć takimi drobiazgami jak poranna kawa i chrupka powierzchnia jajka pękająca pod uderzeniem łyżeczki.

– To mi przypomina dzieciństwo – powiedział po francusku z rozbawieniem i lekkim żalem, jakby w odpowiedzi na moje spojrzenie. – Robiłem tak jako dziecko – powtórzył po angielsku. – Przyłapała mnie pani.

Godzinę później, w parku, prawie go nie poznałam. Nic nie pozostało z tamtego zadowolonego z siebie człowieka, który cieszył się wiosennym porankiem. Był zaniepokojony moją obecnością i starał się tego nie okazać, krążąc wokół ławki, którą wybrał dla mnie Wojtek. W pierwszej chwili pomyślałam nawet, że należy do personelu, a ja robię coś złego. Może nie powinnam siedzieć na tej ławce, może jest to teren zastrzeżony albo wydzielony dla specjalnych pacjentów? Może będą w nim prowadzone prace ogrodnicze? Lucjan jednak usiadł i przez chwilę milczeliśmy. Nie wiedziałam, jak zaczyna się rozmowy w parku zdrowia psychicznego, a on zdawał się skupiony na jakimś wewnętrznym problemie.

Odezwał się pierwszy. Powiedział, że to jego ulubiona ławka, dlatego trochę się zaniepokoił, gdy ją zajęłam. Z pewnością to zauważyłam. Oczywiście jest dostępna dla wszystkich. Zwykle przychodzi tu, patrzy na rzekę i przypomina sobie, co zrobił mężowi swojej córki, na tej ławce pamięta tamto zdarzenie najłepiej. To dla niego ważne, chyba rozumiem.

Odparłam, że raczej tak, że mój mąż też dał się skusić urokowi tego miejsca, wybrał je specjalnie dla mnie.

Lucjan skinął głową i stwierdził, że to przez rzekę, widać ją tylko z tego miejsca. Już przedtem zauważył, że wywiera na ludzi specyficzny wpływ. Tak wyraźnie ukazuje przemijanie, a może jest to tylko dążenie do jakiegoś innego celu niż miejsce obecne, jak ja sądzę?

– Może dlatego starają się ją odgradzić od parku. – Mrugnął do mnie okiem. – Widać ją tylko z tej ławki i z górnego piętra budynku gospodarczego.

Ale ponieważ przyjechałam dopiero wczoraj, z pewnością tam jeszcze nie byłam – dodał z uśmiechem.

Potem już wszystkie rozmowy z Lucjanem w którychś momencie przybierały zaskakujący obrót, ukazując sprawy pod nowym kątem, jakby Lucjan miał jakiś inny punkt obserwacyjny. Tego pierwszego dnia jednak siedzieliśmy pośród azalii niemal w milczeniu. Czułam się skępowana jego towarzystwem. Prawdopodobnie dlatego że to, co mówił, tak wyraźnie kolidowało z wyrazem głębokiego spokoju na jego twarzy.

– Oni twierdzą, że to patrzeć na rzekę mi szkodzi – odezwał się, kiedy miałam już odejść. – I że powinienem znaleźć sobie jakieś inne zajęcie. Nie patrzeć tak przez cały czas. Myślisz, że mają rację?

Nie wiedziałam, co powiedzieć, i pożałowałam, że nie odeszłam wcześniej. Ale już przy pierwszym spotkaniu Lucjan miał nade mną władzę, potrafił wymóc na mnie uznanie swoich potrzeb – tego, że bezwzględnie musi rozmawiać, zapewnić sobie nieustanną obecność drugiej osoby przy tym, co robi. Dlatego zamiast wstać i odejść, zastanawiałam się nad tym, co mówił. Wiedziałam, że ludzie często się boją wody, ponieważ mają przykre doświadczenia z dzieciństwa, mogą tego nawet nie pamiętać. Zapytałam Lucjana, czy boi się wody.

– Właściwie nie. Po prostu kiedy patrzę na rzekę, myślę o tym, jak zabiłem męża swojej córki. A ty wiesz, dlaczego tu jesteś? – Popatrzył na mnie rozjaśnionym wzrokiem. – Ja zabiłem męża swojej córki.

Takie nagłe otwarcia się Lucjana, zdarzające się kilka razy dziennie, na początku naszej znajomości budziły we mnie

niepokój i jakieś bolesne zażenowanie, jakby to mnie otwierał, pokazywał wszystkim we mnie to zabójstwo, którego dokonał.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Zastanowiłam się. Sprawa nie była dla mnie do końca jasna. Lucjan kiwnął głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Nie napisali tego w folderze i w ogóle o tym nie mówią, ale to miejsce dla ludzi, którzy mają obsesję śmierci, wiedziałaś o tym? Mamy tu mnóstwo ludzi, którzy stracili dzieci, ale nie tylko. Jesteś normalna?

Tego nie wiedziałam.

– Coś ci się musiało przytrafić – powiedział Lucjan. – Lepiej, jak się to wie: leczenie idzie im szybciej. Utrata dziecka albo poczucie winy, że się nie zapobiegło śmierci kogoś z rodziny... Niektórzy myślą, że zabili swoich bliskich, coś zaniebdali. To wywołuje straszne zaburzenia. Pamiętasz, co ci się przytrafiło?

Przytrafiła mi się śmierć Meraba Kakubawy.

– Wcale się nie dziwię – stwierdził Lucjan po wysłuchaniu tego, co mówiłam lekarzom przez ostatnie osiem miesięcy. – Od razu rozpoznałem twójgo męża. Wiele razy widziałem go w telewizji. Opowiada o Afganistanie albo o tych afrykańskich wojnach.

Przyznałam, że to możliwe. Wiele osób rozpoznawało mojego męża: był znanym dziennikarzem i często występował w telewizji.

– Teraz opowiem ci, jak zabiłem skurwiela, męża mojej córki – powiedział Lucjan. – Powinienem to zrobić pięć lat temu. Ale nie zrobiłem i dlatego tu jestem.

Moim lekarzem prowadzącym jest stary profesor, który zajmuje się leczeniem żołnierzy powracających z Iraku i z Afganistanu. Skierował mnie do tego domu w Dolinie, ponieważ uważa, że nie jestem przypadkiem klinicznym i tu mi będzie lepiej niż na oddziale szpitalnym wśród ludzi, którzy krzyczą w nocy albo wydaje im się, że ciągle zabijają. Raz w tygodniu przyjeżdża ze mną porozmawiać, ustawić mi leki i terapię. Po trzech miesiącach leczenia jest zdania, że powinniśmy porozmawiać o czymś innym niż śmierć Meraba Kakubawy.

– Wiemy już, że nie o niego nam chodzi, prawda, słoneczko? – Mówi do mnie „słoneczko”. – Musimy wyjść poza ten etap. Już zrozumieliśmy, że ten obraz jest tylko symbolem naszych kłopotów, a problem leży głębiej, prawda? – Mówi to ciepłym, miękkim głosem, który rozchodzi się po mnie i każe wierzyć, że naprawdę udało mi się oddać tego siwego lekarza na pastwę moich udręczeń, że przez jakiś czas nim się będą zajmować. Teraz też, jak podczas każdej rozmowy, czuję, że mamy wspólny kłopot, odcięta głowa Meraba Kakubawy straszy w snach nas oboje. Nie zasnęliśmy od ośmiu miesięcy. Nie działają na nas środki farmakologiczne, mamy zaburzenia postrzegania, rozpadamy się.

– Jakież inne myśli?

– Doświadczam zaniku czucia i mam koszmary. Jestem wyobcowana, daleka od ludzi. Najbliżsi przyjaciele wydają mi się obcy, żyją za zasłoną. Nie potrafię rozmawiać o rzeczach

blahych, zdarza się, że nie odpowiadam na pytania albo przestaję uczestniczyć w rozmowie. Często jestem w ciemnościach, w których natykam się na krew, w jakimś ciasnym, zapadniętym miejscu o wysokich ścianach. Nie znam stamtąd wyjścia.

– Dobra myśl na dzisiaj?

– W przerwie między budynkami widać błękitne niebo, a może jest to skrawek morza, ciepła fala bijąca z nagrzanego muru, kiedy huk rozrywa ciało po raz pierwszy...

– To nie może być śmierć tego człowieka, słoneczko. Już o tym rozmawialiśmy. Mamy jakieś inne obrazy?

Przymykam oczy.

Mamy w głowie wiele obrazów.

– Idę drogą wśród żółtych poszarpanych skał...

Ale najbardziej chcę rozmawiać o tym, co przytrafiło się Merabowi Kakubawie.

– No dobrze – mówi profesor, ale w jego ciepłym, przyzwalającym głosie brzmi już odcień troski. – Zróbmy to jeszcze raz.

Głowa Meraba Kakubawy przelatuje nisko nad zrytą popiskami ulicą, ciągnąc za sobą pasmo błękitu, poświatę tego morza wypełniającego wyrwę między budynkami. Odrywa się od ciała Gruzina i szybuje w dół alei Rustawelego, ulubioną trasą spaceru Wojtka; Tbilisi to jedno z jego ukochanych miast. Wiem, kogo trafia odłamek pocisku, to Merab Kakubawa rozlatuje się na kawałki, ma jednak rysy Wojtka. Wybuch, który rozerwał gruzińskiego przewodnika, jeszcze uwydatnia rysy mojego męża – wypukłe czoło i lekko zawadiacki, nieśmiały uśmiech. Jak każdy optymistą Wojtek ma przy tym pogodny wyraz twarzy, jakby to, co mu się przed chwilą przytrafiło, nie zmieniło jego losu ani w niczym nie naruszyło osobowości. Nawet po tak głębokiej ingerencji nadal nie wierzy, że mógłby podlegać jakimś większym zmianom. I ma rację, te zmiany

dotyczą jedynie mojego losu i mojej osobowości. A może, tak jak ja, jest już od dawna z tym pogodzony.

– Pogodzony ze swoją śmiercią? – pyta Lucjan.

Lubi, gdy mu o tym opowiadam, jeśli zaczynam od samego początku. „Opowiadamy od początku – mówi lekko strofującym tonem. – Jeszcze raz”. Czasem nie mam ochoty powtarzać tego wszystkiego jeszcze raz, w ściśle określonej kolejności, i udaję, że nie pamiętam, mówię, że to wszystko było tak dawno. Wtedy Lucjan próbuje mnie przekupić. Wyciąga z kieszeni bluzy gruszkę z obiadu albo kilka waniliowych krówek, które nie wiadomo skąd bierze – nie wolno nam trzymać żywności z zewnątrz.

– Dlaczego to cię tak interesuje? – pytam. Uważam, że ma własne problemy: zamiast odsiadywać wyrok za zabójstwo, wracać do normalnego życia, kręci się w tym dziwnym, na wpół leśnym, na wpół rzeczonym miejscu, daleko od wszelkich powrotów.

Lucjan krzywi się trochę boleśnie, trochę kpiąco i długo zastanawia się nad odpowiedzią. Przyznaje się w końcu niechętnie, jakby się bał, że mnie urazi, a ja odejdę i w ten sposób pozbawię go czegoś istotnego. Wie jednak, że musi mówić prawdę, inaczej również odejdę.

– Ty opowiesz swoją historię, a ja swoją. To taka umowa. Muszę powtarzać, inaczej zapominam – przyznaje ze smutkiem. – Oni tego właśnie chcą.

Opowiadając Lucjanowi moją historię, zwykle zaczynam od tego, że mamy udane życie: ja i mój mąż korespondent wojenny. To nieodmiennie bawi Lucjana. Przerywa mi na samym początku i sądzę, że właśnie dla tej chwili namawia mnie na kolejne opowieści. Pyta, czy widzę komizm takiego stwierdzenia. Ale ponieważ lada chwila się obrażę, przybiera na siłę poważny wyraz twarzy i już nie żartuje, mówi tylko, że

to dziwnie brzmi w ustach kogoś, kto siedzi w zakładzie dla obłąkanych. Chyba to wyczuwam? Odpowiadam, że to nie jest zakład dla obłąkanych, tylko ośrodek zdrowia psychicznego, w recepcji jest to wyraźnie napisane. Ale w gruncie rzeczy przyznaję mu rację i budzi to zamęt w moim umyśle. Dlaczego uważam, że miałam udane życie, skoro doprowadziło mnie do tego miejsca, gdzie nie wolno trzymać żywności z zewnątrz?

Dlatego ulegam Lucjanowi i zaczynam opowiadać od początku, szukając pośród zgłiszczy tego swojego udanego życia. Lucjanowi jest to potrzebne z zupełnie innego powodu, ale to zrozumieć dużo później.

Właściwie aż do momentu pojawienia się Meraba Kakubawy mieliśmy nadzieję, że jakoś przetrwamy ja i mój mąż korespondent wojenny. Ludzie mówią, że podstawą udanego związku są wspólne zainteresowania, nie miłość. Mieliśmy jedno i drugie, a przynajmniej bardzo długo tak sądziliśmy. Dawało to nam podwójne zabezpieczenie, takie zapasowe łądowisko, na wypadek gdyby coś zawiodło albo się skończyło – pasje są o wiele trwalsze niż uczucia, odporniejsze i lepiej znoszą złe koleje losu. Dlatego uważaliśmy się za szczęściarzy. Ludzie, rozpoczynając wspólne życie, zwykle nie mają żadnych rezerw, muszą dojechać do końca na jednym baku.

– Jesteś podróżniczką? – pyta Lucjan.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiadam. Teraz nie jestem już nikim.

Wydaje mi się dziwne, że ta pasja, która teraz jest moim wrogiem, łączyła mnie i Wojtka ściślej niż miłość. Tak trudno uwierzyć, że ta wielka siła kiedyś działała na moją korzyść. Twórcza, dobra siła. Nie wiedziałam, że jest jednocześnie czymś niszczycielskim, że nie ma tylko pozytywnej natury, niszczy do samego końca, do ostatniego przejawu życia.

Mieliśmy wspólną pasję, ja i mój mąż korespondent wojenny – odkrywanie świata. Dla mnie było to oglądanie, smakowanie i wylegiwanie się na słońcu, same dobre rzeczy. Dla mojego męża miało to być oddzielanie życia od śmierci – misterna robota, jak wyłuskiwanie żółtka z białka.

Przyjaciele mówili, że dobraliśmy się jak w korcu maku, takie niesłychane podobieństwo, identyczne postrzeganie świata. Te same zainteresowania. Studiowaliśmy afrykanistykę i indologię, do spółki mieliśmy w kieszeni połowę świata. Jak często się to zdarza?

Poznawaliśmy się w drodze, to dobry sposób. W podróży następuje pewne zagęszczenie zdarzeń, sytuacji i kryzysów. To takie poznawanie na szybko: drugi człowiek w pigule. Nic tak nie demaskuje jak czterdziestogodzinny przejazd indyjskim pociągiem z Patny do Puri albo podróż na dachu autobusu jadącego do Nepalu. Wsiadając w Puri albo na głównym placu w Katmandu, wie się dużo o sobie i towarzyszu podróży, więcej niż po pięciu latach sypiania w jednym łóżku. Trochę przypominało to wizytę u psychoanalityka. W podróży pozbywaliśmy się kolejnych warstw zabezpieczających nasze prawdziwe „ja”, aż wydawało się, że powiedzieliśmy sobie wszystko.

Podróżowaliśmy na wszelkie sposoby; mieliśmy przecież wspólną pasję i żadnych obowiązków. Byliśmy zupełnie wolni, w takim momencie między jednym a drugim etapem życia, kiedy tworzy się trochę wolnej przestrzeni. Mogliśmy się tym cieszyć, dopóki wystarczy nam pieniędzy.

Pojechaliśmy do Afryki, ale to Azja wywarła na nas największy wpływ. Po kilku miesiącach w drodze zamieszkaliśmy w Delhi w hinduskim domu Gopalów, tuż nad głównym bazarem starego miasta. Chcieliśmy zobaczyć, jak to będzie osiąść w podróży na dłużej. Z balkonu naszego pokoju za dnia widać było dachy straganów warzywnych i wejście do świątyni Durgi, nieustannie kłębiący się tłum, w nocy po ścianach pokoju wędrował odblask ognisk palonych przez bezdomnych i pielgrzymów. Często wychodziliśmy nocą, jakby tego dziennego obcowania było nam za mało. Mijaliśmy ludzi okrytych brezentem albo szmatami, śpiących na głównym placu i szliśmy

w stronę dworca kolejowego. Była to ulubiona trasa Wojtka, wyznaczona przez ruchliwą linię śmieci będących miarą dziennego utargu dzielnicy handlowej. Z czarnych nieoświetlonych domów bił zapach gorącej wilgoci, wspomnienie po niedawnym monsunie, którego w dziennym skwarze, pośród wiecznego rozgardiaszu i dymów palenisk, już się nie dawało odnaleźć. Wiatr zrywał się nagle, zbierając z ziemi, a czasem z murów, jakieś nieokreślone kształty, kawałki tektury czy odzieży, w ciszy przeganiał je ulicą. Nocą było to straszne miejsce, pełne ospałych, na wpół martwych psów i dziwnych postaci poukrywanych w załomach murów, przeczekujących do świtu. Okrążaliśmy Pahargandź od wschodu, idąc kawałek Chelmsford Road skrajem przydworcowych slumsów, i wracaliśmy na plac bazarowy, syci czy niesyci wrażeń, tego nie wiedziałam.

I zaczynaliśmy powoli rozumieć, że różnimy się od innych, kto wie, czy nie jesteśmy prawdziwymi koczownikami, takich ludzi nie da się upchnąć w typowy model życia. Dla nas wydawał się on nieodpowiedni, zaczęliśmy rozmawiać o tym, że może trzeba odkryć jakiś własny. W rodzinie były takie tradycje. Moja babka wyruszała w drogę każdej wiosny, zaraz po tym jak wody gruntowe wybiły studnię w podwórku, a z pól za stodołą wiatr przyniósł zapach zaoranej ziemi. Było wiadomo, że to nastąpi: czekała na to całą zimę. Przystawała zajmować się gospodarstwem i wychodziła na drogę. Mówiła, że na nią już czas, znowu chce chodzić światami. Wołała mnie i razem ściągałyśmy ze strychu starą rozpadającą się walizkę, której po raz pierwszy użyto w pięćdziesiątym szóstym, w podróży do Stargardu Szczecińskiego. Lubiłam te przygotowania do wyjazdu, który nigdy nie nastąpił. Babka nie wiedziała, skąd jej się bierze ta chęć ani gdzie leżą te dalekie kraje, do których wyrusza. Do walizki pakowała to, co miało dla niej największą

wartość: zdjęcie zmarłego dziecka, obrazek poświęcony przez papieża, najpiękniejsze okazy bulw georginii, z których słynęła w okolicy. Pytała, czy ja też chcę jechać. Czasem się bałam – babka miała taki dziwny, zgłodniały wyraz oczu i wydawała się kimś innym. Czasem jednak wyrażałam zgodę i dopakowywałam do walizki pudełko flamastrów, nieużywaną gumkę z Myszką Miki, wyjątkowo piękne gęsie pióro. Podróżny zestaw babki właściwie nie ulegał zmianie przez lata. Zdarzało się, że dokładała przepis kulinarny albo nowy wzór haftu. Ja swoje rzeczy wymieniałam w miarę upływu lat, zamiast skarbów wygrzebanych z nadrzecznego mułu pakowałam strój baletnicy, potem książki, pamiątki po pierwszej miłości. Walizka stała w sieni, dopóki niepokój w babce nie wygasł. Zazwyczaj wygaszał w porze sianokosów, ale zdarzało się, że trzymał babkę przez całe lato, i wtedy w rodzinie mówiono, że odzywają się stare geny po moim pradziadku ułanie.

W drodze z Delhi do Kerali poznaliśmy ludzi, którzy zdawali się mieć gotową odpowiedź na dręczące nas pytania. Pociąg toczył się całymi dniami przez ryżowiska i pola kukurydzy, w ospałym tempie mijał przejazdy kolejowe, gdzie przed szlabanami stały kolejki wozów zaprzężonych w bawoły, niemal zaczepiały o ściany slumsów przytulonych do torów. Rozmawialiśmy o Indiach, o tym, że dla slumsów tory kolejowe są jak rzeki życia, zapewniają pożywienie, zabierają nieczystości, dają poczucie zabezpieczenia bytu. Hanssenowie przemierzali tę trasę wiele razy, znali na pamięć nazwy stacji, wiedzieli, gdzie są najlepsze somosy i który sprzedawca tytoniu ma niepodrabiane rothmansy. Mówili, jak zmieniło się życie przy torach: jeszcze niedawno dzieliło je od domów pasmo wolnej przestrzeni, gdzie ludzie gotowali, myli się przy pompach. Teraz slumsy ocierają się o tory, jakby ludzie bali się wyczerpania ich zapasów, chcieli być jak najbliżej źródła życia.

Hanssenowie prowadzili koczowniczy tryb życia. Zimą wyruszali na południe, do Goa albo Kerali, latem wędrowali w chłodniejsze rejony, do podgórz Himalajów, do Nepału albo Dardżylingu. Mówili, że takie życie zdaje egzamin, jeżeli mieszka się w aśramach, bo hotelarze po pewnym czasie zaczynają być uciążliwi i nękać gości. Budzą ich o piątej rano i domagają się należności za następną dobę albo za następny tydzień.

– No i nie można mieć w kraju niczego, co wiąże, żadnej własności, stałej pracy, mieszkania, stałych zobowiązań. To bardzo przeszkadza. Naszym przyjaciołom się nie udało, ponieważ mieli w Stavanger mieszkanie. Musieli płacić za nie rachunki i w ogóle. Teraz on pracuje w banku, a ona urodziła trzecie dziecko. Nie są szczęśliwi. Ludzie często nie wiedzą, co jest dla nich dobre.

Marie kiwała głową, mówiła, że oni mają inną metodę: wracają do kraju na trzy, cztery miesiące, pracują byle gdzie. Zarábiają pieniądze, które starczą im na roczną podróż po Indiach albo jakimś innym miejscu. Myślą, że niedługo przeniosą się do Tajlandii. Albo do Afryki. Zawsze chciała zobaczyć sawanny.

Urok takiego życia uderzył nam do głowy – z pewnością byliśmy tacy jak Hanssenowie. Od samego początku wiedzieliśmy, co dla nas dobre, mieliśmy więcej rozumu niż przyjaciele ze Stavanger. Była wprawdzie kawalerka w marnej warszawskiej dzielnicy, ale można ją było sprzedać i uwolnić się całkowicie, stać się prawdziwymi wędrowcami. Wojtek był zatrudniony w telewizji, ale nie potrafił nawet powiedzieć, co tam robi, tak czy inaczej, po powrocie z Indii zamierzał zrezygnować. Ja byłam świeżo po studiach i wiedziałam tylko tyle, że chcę podróżować. Miałam w sobie geny pradziadka ułana.

I może wszystko potoczyłoby się zgodnie z takim planem, metodą Hanssenów, gdyby nie to, że nie można wyjechać z Indii, nie zobaczywszy Waranasi.

– Nie byliście jeszcze w Waranasi? – zdziwili się Hanssenowie. – Koniecznie musicie jechać. To miasto miliona pielgrzymów, mówią, że codziennie przyjmuje tysiąc razy więcej ludzi, niż ma mieszkańców. Dopiero tam człowiek spotyka samego siebie.

Pojechaliśmy więc na to spotkanie. Był grudzień 1985 roku.

Miasto było opustoszałe. Tylko krowy posuwały się wolno ulicami w stronę Gangesu wzdłuż poszarpanych krawędzi ulic wabione zapachem wilgoci. Pośród rozwleczonych po mieście straganów leżały nadpalone transparenty reklamowe: „Kupujcie tylko u Luxa”, „Nowy film Kriszana Gupty”. Z porzuconego sklepu z jedwabiami wiatr wywłókł skraj szafranowego sari. Przetykany złotą nicią materiał zamiatał jezdnię, raz po raz rozpościerając na całą szerokość misterny haft. W cieniu na wpół zaciągniętych markiz kina Imperial kryły się psy. Było jasno i spokojnie. Kurz zasnuwający indyjskie święte miasto opadł, jakby od rana nikogo w nim nie było, nadal panował nocny bezruch, dzień wstał o wiele za wcześniej.

Na rogu Raja Bazar i ulicy Kabira Chaury leżała kołami do góry riksza z wizerunkiem boga pomyślności. Koła roweru obracały się ciągle poruszane niewidoczną dla nas siłą. Wystawiona na działanie południowego słońca buda wydzielała zapach topiącej się gumy. Panowała jakaś nieodwołalna, raz na zawsze zaprowadzona cisza przerywana jedynie krzykiem małp, które biegly nad naszymi głowami, przeskakując z domu na dom po balkonach i krawędziach dachów.

Przy głównym zejściu do Gangesu leżały porzucone części garderoby, lekka fala obmywała dziesiątki glinianych miseczek z kwiatami lotosu, gotowych, by puścić je na wodę. Girlandy z pomarańczowych nagietków usłaly szerokie schody wzdłuż brzegu jak wygrzewające się na słońcu węże, dogasał ogień pod prawie nienaruszonym ciałem na stosie pogrzebowym.

Przestawał już dymić. Z nadpalonego drewna unosił się zapach olejku sandałowego i mirry.

Wiedziałam, że musimy stamtąd odejść natychmiast, zanim kataklizm, który nawiedził to miasto, zawróci i uderzy jeszcze raz. Tu stało się coś strasznego. Nikt nam o tym nie mówił, kiedy wysiadaliśmy z pociągu.

– Chodźmy stąd – powiedziałam. – Chcę stąd odejść.

– Za chwilę. Nie jesteś ciekawa, co tu się dzieje? To chyba nie koniec.

Wojtek ruszył bezludną ulicą, przez na wpół wybebeszowane, zamarłe miasto w stronę centrum, a ja poszłam za nim.

– Więc nie zostaliście tam, tak jak Hanssenowie? – pyta Lucjan.

– Nie – odpowiadam. – Wróciliśmy do kraju, żeby zarobić na roczną podróż. Może do Indii, może w jakieś inne miejsce.

Tak mówię Lucjanowi, ale mam przy tym niejasne uczucie, że coś jest nie w porządku; trochę kłamię, może tylko czegoś nie dopowiadam. Coś w tym zdaniu zgrzyta. Nie wiem, co to jest ani co o takich niedopowiedzeniach sądzi Lucjan. Czy można sobie na nie pozwolić, czy obowiązuje całkowita szczerość?

– Wróciliśmy do kraju, żeby zarobić na roczną podróż... – mówię jeszcze raz. Czy tak na pewno było?

Chodziłam na rozmowy kwalifikacyjne, szukając tej pierwszej lepszej pracy – mogłam być tłumaczem, sekretarką, recepcjonistką. Wojtek zatrudnił się w Polskiej Agencji Prasowej, pisał depesze na porannej zmianie. Nie wiem, kto pierwszy zaczął robić karierę zawodową. I czy to była ta fałszywa nuta, która psuje zdanie o rocznej podróży w świat. Nie mieliśmy robić kariery, tylko zdobyć tymczasowe zatrudnienie, taka była umowa.

Kariere zaczęłam chyba ja, chociaż to Wojtek zatrudnił się tam, gdzie mógł sprawdzić, co stało się w Waranasi, już wtedy